

Nasz rejs...

PRÓBA GRUDNIOWEGO BAŁTYKU

– W zimie to się pływa!!! – stwierdził podczas letniego rejsu nasz skipper. Wtedy, dumny z każdej mili, prawie się na niego obraziłem. Ale teraz...

Bartosz Obracaj

Początek grudnia 1999 roku. Późnym popołudniem wypływamy z Gdańska na Zatokę. Nasza sześcioposobowa załoga ma do okiełznanania 18 metrów stalowego J-140. Trzy metry pokładu na osobę – nie jest tak źle. Jednak gdy pierwsze żniwo zbierze choroba morską, ten przelicznik nie będzie wyglądał już tak optymistycznie.

Pierwszy grymas Neptuna

Morze jeszcze spokojne, jednak w miarę zbliżania się do Helu zaczyna wiać naprawdę solidnie. Teraz każdy zdaje sobie sprawę, że nie ma już odwrotu i trzeba płynąć, cokolwiek miałyby to znaczyć. Tymczasem Bałtyk po raz pierwszy w tym

rejsie pokazuje zęby. Do silnego wiatru z czasem dołącza stroma, nieprzyjemna fala. Pierwsze dary dla Neptuna lądują za burtą. „Chyba chce nas przekonać, że pływanie zimą to nie jest dobry pomysł” – zdają się mówić nasze twarze. Chwilę później rozdziera się na całej długości zarefowany grot. Jest to pierwsza z serii awarii jachtu, które bę-

dą obrzydzać nam życie nie mniej niż pogoda.

Ostatecznie doptywamy po około dobie (!), kompletnie „rozjechani” do Władysławowa. Tę rundę chyba przegraliśmy. Morze od razu pokazało, na co je stać, ale pewnie dzięki temu łatwiej było nam pokonać to, co miało dopiero nadejść.

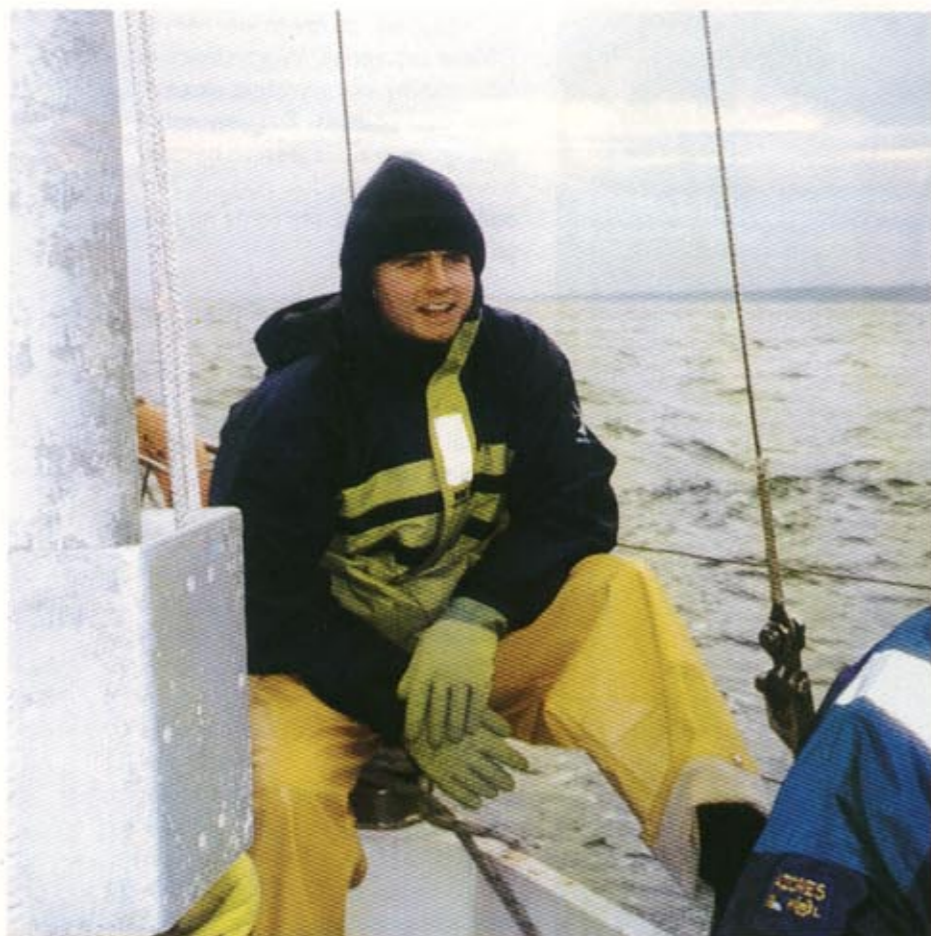
Przedziwnie wyglądał nasz samotny jacht wśród floty kutrów w ciągu tych krótkich, zimowych dni, gdy przygotowaliśmy go do dalszej drogi. Trochę jak intruz, który znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Podobne opinie wyrażali sami rybacy, ale w gruncie rzeczy jako ludzie morza chyba czuli do nas sympatię, choć do końca raczej

nie zrozumieli, do czego jest nam ta zabawa potrzebna. Władysławowo opuszczamy bez wyraźnego określonego celu podróży. Zdajemy sobie sprawę, że w zimie jeszcze bardziej o wszystkim decyduje pogoda. Najogólniej mówiąc, płyniemy na drugą stronę Bałtyku.

Nieufna Szwecja i niechętnie morze

Morze gładkie prawie jak stół. Jednak prognoza sprowadza nas na ziemię. „Niż z centrum nad Danią pogłębia się i przemieszcza na wschód...”. No cóż, sielanki raczej nie będzie. I rzeczywiście, przy wciąż tężejącym wietrze płyniemy baksztagowym kursem w stronę Kalmaru. Ostatecznie po ok. dobie, bez większych przygód i trudności wchodzimy do Berghvary, „metropolii” (1100 mieszkańców) na zachodnim brzegu Cieśniny Kalmarskiej. Spędzimy w Szwecji trzy (!) „długie” godziny, z których sporą część poświęcimy na przekonywanie szwedzkich pograniczników (wezwanym przez przypadkowego przechodnia – Szwecja to jednak dziwny kraj), że żeglarstwo, a nie przemysł są naszym sposobem na życie. Gdy już nam się to udało, usłyszeliśmy tylko: You're crazy!!!... Dłużej jednak nie możemy zostać. Zaczyna gonić nas czas, a wiatr będziemy mieć (jak się później okaże, do samej Polski) tylko prosto w twarz.

Dwie godziny po opuszczeniu Szwecji tracimy urządzenie sterowe. Ułamał się (dosłownie) jego podstawowy element. Nie pozostaje nam nic innego jak zamontować rumpel awaryjny. Od tej chwili jednak wachty będą trwały maksymalnie godzinę. Po prostu nikt nie jest w stanie dłużej obsłużyć tego piekielnego urządzenia. Tymczasem wiatr ustabilizował się na poziomie ok. 8°B; zaczyna padać. Ciężko pokonujemy każdą falę. Nasz jacht dzielnie walczy z napierającym morzem. Raz po raz lodowata woda zalewa pokład i... sternika. Żeby się oszczędzić, na pokładzie trzymamy tylko jedną osobę. Ktoś jednak zawsze jest w pogotowiu, gdyby działo się coś złego.



Autor gotów do zimny na morzu

Atut: zdrowy rozsądek

Podczas jednego z takich asekuracyjnych, nocnych „dyżurów” w pełni doceniłem na własnej skórze dobrodziejstwo i konieczność pasów asekuracyjnych.

Bez an od dłuższego czasu nieprzyjemnie łopotał, potęgując i tak uciążliwe jęki poniewieranego jachtu. Udawałem trochę, że tego nie słyszę. Jednak szef dał „dyskretnie” do zrozumienia, że coś wypadłoby zrobić. W pierwszej chwili chciałem wybiec na zewnątrz tylko w sztormiaku – przecież to tylko na chwilę!! Byłem już na górze, jednak coś mnie zawróciło. Ubrałem się jak Pan Bóg przykazał i wyszedłem po raz drugi. Wpiąłem się w solidny element na rufie i zabrałem do pracy. Przemknęło mi jeszcze przez głowę, że jakoś tutaj za spokojnie i... w tym właśnie momencie nadszedł „nieprzyjaciół” – potężna fala, której przez ciemności nie mogłem zauważyć, załapała całą rufę.

Przez moment poczułem się jak cząstka całego morza. Instynkt kazał mi trzymać się czegokolwiek ze wszystkich sił. Chyba wyrwało mi się z ust siarczyste przekleństwo... Wybrałem bezana w tempie regatowca i wróciłem pod pokład. Doświadczyłem przedziwnego uczucia. Morze w ciągu krótkiej chwili pokazało mi, kto tutaj rządzi. Zrozumiałem, że jedynym atutem człowieka w tej rozgrywce jest zdrowy rozsądek.

Rzeczywiście, w zimie to się pływa!

Tej nocy sztorm był najsilniejszy w całym rejsie. Fachowe oko Marcina oceniło go na „mocne” 9°B. Jako załoga wytrzymał i to, jednak pojawiły się problemy innego rodzaju. Straciliśmy jedną z tratw ratunkowych – rzecz raczej rzadko spotykana. Nie byliśmy w stanie nic zrobić. Puścili mocowania i zanim



Nocna wachta

wybiegliśmy na pokład, już jej nie było. Krótko później całkowicie zaniemógł GPS. To był chyba najtrudniejszy moment całego rejsu.

Południowy, sztormowy wiatr nie pozwalał nam wyraźnie zbliżyć się do celu, nie znaliśmy swojej dokładnej pozycji, dewiacja kompasu, której nie znał chyba sam armator jachtu, powodowała, że



w zasadzie nie wiedzieliśmy, dokąd płyniemy. Dlatego pod wieczór, gdy po zwrocie zrobionym na wycucie na horyzoncie pojawiło się światło Rozewia, atmosfera jakby się rozluźniła... Odtąd wszystko zaczęło układać się pomyślnie (nie licząc sztormu na pożegnanie, już na Zatoce) i dzień później byliśmy szczęśliwie w Gdańsku.

To był ciężki rejs. Był szkołą żeglarstwa i pokory dla żywiołu. W tych trudnych warunkach, które powodują, że każdy odbierany przez nas bodziec jest podwójnie intensywny, a tęsknota za domem jeszcze bardziej dotkliwa, dowiadujemy się prawdy o samych sobie. Dowiadujemy się, ile tak naprawdę jesteśmy warci.

Każdy zimowy rejs ma inny scenariusz. Niezależnie jednak, czy upłynie on na walce z morzem, czy na lepieniu bałwana na pokładzie, zawsze można powiedzieć: „W zimie, to się pływa!!!”. I teraz to rozumiem...

Wszystkich zainteresowanych taką formą żeglarstwa zapraszamy do współpracy: jacarbo@kki.net.pl